

Balik, Zenon

W syberyjskich tajgach żyć... (4)

Przegląd Pruszkowski nr 2, 57-73

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W syberyjskich tajgach żyć... *)

(4)

*Dziesiąty luty będziem pamiętali,
Przyszli sowieci, myśmy jeszcze spali,
I nasze dzieci na sanie włożyli,
Na główną stację wszystkich wywozili.*

JEDEN KROK DO WOLNOŚCI

W końcu sierpnia 1941 roku władze radzieckie nagle zarządziły zebranie, w którym mieli obowiązek uczestniczyć wszyscy pracujący i pełnoletni Polacy. Zebranie to odbyło się w Palenczycach. Ojciec był na miejscu a matka i jej przyjaciele z Jurokty udali się na to zebranie grupowo. Przybyli przedstawiciele władz radzieckich (przypuszczalnie z Irkucka). Przeczytali zebranym uchwałę, z której wynikało, że z dniem dzisiejszym wszyscy Polacy na Syberii otrzymują wolność (w pojęciu radzieckim) i wszelkie prawa obywatelskie na równi z obywatelami radzieckimi. Ogłoszono, że od dziś Polacy jako wolni obywatele mogą mieszkać w obrębie Syberii w Krasnojarskim Kraju, w dowolnie wybranej przez siebie miejscowości, lub mogą pozostać na miejscu. Władze miejscowe nie zapewniają nikomu żadnego środka komunikacji w przypadku przesiedlenia się do innych miejscowości. Ogłoszono, że wszyscy mogą się poruszać do wybranego miejsca przeznaczenia na własną rękę. W przypadku zgłoszenia przez kogoś woli opuszczenia obecnego miejsca pobytu, władze mają obowiązek zaopatrzyć go w chleb na 7 dni z góry. Wszyscy mieli do namysłu jeden dzień, żeby podać, gdzie kto chce przebywać, bo z góry każdy otrzyma odpowiednią "rozpiškę", która będzie ważna na czas dotarcia do miejsca przeznaczenia, podanego w swojej deklaracji.

Wiadomość ta spadła na Polaków jak grom z jasnego nieba. Rodzice później opowiadali, co tam się działo. Polacy prawie oszaleli z radości. Jedni rzucali czapki do góry a inni ciskali nimi o podłogę. Zaczęli się obejmować i całować. Jedni płakali a inni zaczęli śpiewać: "Jeszcze Polska nie zginęła..." gromkim głosem, a było ich kilka setek. Nie wszyscy jednak

*/ Z "Pieśni syberyjskiej", autorka: Anna K.

mogli śpiewać normalnym głosem, bo wielu spośród nich nie mogło wydać z siebie głosu, bo mieli gardło ściśnięte ze wzruszenia. Po hymnie zaśpiewano "Rotę" i pieśń religijną. Rosjanie patrzyli ze zdziwieniem, że ci gnębieni i sponiewierani ludzie mogą okazać tyle entuzjazmu i tyle energii. Pokazali, jakiego mocnego mają ducha. Tego dnia nie zabraniano zebrany cieszyć się, płakać i śpiewać swoich pieśni. Byli z pewnością zdumieni powagą tych pieśni, bo zasadniczo różniły się one od "czastuszek" najczęściej tam śpiewanych.

Radośni Polacy wrócili do domów, żeby przekazać tę nowinę swoim najbliższym, którzy nie byli obecni na zebraniu. W domach wybuchła druga fala radości. Pytaliśmy tatusia, kiedy pojedziemy do Polski. Niestety, na to pytanie odpowiedzi nie było. Ojciec powiedział, że jeszcze na ten temat nic nie wiadomo. Zresztą teraz jest wojna i w Polsce są Niemcy. A dlaczego Rosjanie dają nam wolność i równouprawnienie? Na to pytanie ojciec wyjaśniał nam:

- Na pewno Rząd Polski, który teraz jest na emigracji, upomina się o nas, o nasze prawa. Teraz, kiedy Niemcy uderzyły na Rosję, władza radziecka stała się bardziej ustępliwa na to żądanie. Wszystko możemy zawdzięczać generałowi Sikorskiemu, który wynegocjował uwolnienie Polaków.

Po tej chwilowej uciechu należało szybko podjąć decyzję, gdzie chcemy zamieszkać na Syberii, do końca wojny. Kłopot był w tym, że mało kto orientował się w sytuacji geograficznej naszego dotychczasowego miejsca zamieszkania, jak daleko stąd do miast i do kolei, bo tylko tą drogą moglibyśmy kiedyś wracać do Polski. Inteligentniejsi Polacy orientowali się, że najbliżej stąd jest do Kańska, dokąd jest dogodna komunikacja traktem lądowym. Do Kanska dochodzi kolej i jak przyjdzie czas powrotu, będziemy bliżej celu. Do Kanska, według informacji Rosjan, zawiłymi traktami jest około 360 kilometrów przez tajgę. Z niewielkim bagażem można więc tam dojść piechotą w ciągu kilku tygodni. Na drugi dzień większość zgłosiła chęć przeniesienia się do Kanska. Kilka rodzin wielodzietnych, z małymi dziećmi, przeważnie samotnych matek, których mężowie zmarli podczas epidemii tyfusu lub w inny sposób, postanowiły zostać na miejscu i czekać jakiejś pomocy w późniejszym terminie. Dwóch Ukraińców z Polski, którzy podlizywali się Rosjanom i byli donosicielami na każdą okoliczność, teraz mieli kłopot, bo nie wiedzieli co począć. Nie bardzo chcieli zostać na miejscu, a maszerować do Kanska z innymi Polakami po prostu się bali. Obawiali się represji ze strony wszystkich, którym wyrządzili krzywdę. Łatwo im było działać, kiedy przeciwnik był bezbronny. Teraz ten bezbronny gołąbek mógł przekształcić się w sokoła. Ostatecznie postanowili pozostać na miejscu. Może Sowieccy przyjaciele ich nie zawio-

dą. Nasi ojcowie podali się do Kanska, chociaż decyzję tę podjęli tylko dlatego, że wypadało dołączyć się do większości, choć zdawali sobie sprawę, że nie łatwo im się będzie tam dostać.

Teraz każdy, kto podjął decyzję zamieszkania w Kansku, stanął przed poważnym problemem: jak się tam dostać i czy podoła trudnościom podróży. Rodziny, które nie miały małych dzieci, w sytuacji: "ratuj się kto może!", szybko podjęły decyzję. Potworzyły się grupy przyjaciół, którzy mogli liczyć na wzajemne wsparcie, były to przeważnie rodziny o jednakowych siłach i szansach, albo złączone więzami krwi. Nie mający w swym gronie małych dzieci i chorych, natychmiast zaczęli się przygotowywać do wyjazdu. Przygotowywali sobie przeróżne wózki, na których mogli przewieźć najpotrzebniejszy ekwipunek. Byli nawet tacy, co na wózek kładli chorego czy dziecko, a spośród nich inni mieli iść pieszo i ciągnąć wózek za dyszelek lub za postronek. Wyprawy organizowano grupowo. Teraz najcenniejszym fachowcem okazał się kołodziej. Było ich kilku. Zrobili dużo kół drewnianych i kutych dla obcych i dla najbliższych. Nie mogli jednak podołać wszystkim zamówieniom, bo zastałaby ich zima. Pracowali dniami i nocami. Szukali pomocy u miejscowych kowali. Oddawali niedawno przydzielone krowy za zwrotem wpłacanych od kilku miesięcy rat. Była też rodzina, w której było wielu pracujących i zdążyła wpłacić całą należność za krowę, teraz więc zaprzęgli ją do wózka. Byli też tacy, którzy nie mogąc dostać fachowo zrobionych kół, robili je sami, bardziej prymitywne, lub wyszukiwali odpowiednie u tubylców.

Niektórzy zrezygnowali z wózków i robili plecaki z woreczków, przyszywając do nich parciane paski lub postronki. Kładli w nie najpotrzebniejsze rzeczy i wychodzili na szlak, przez dziki las. Nie wiem jak znajdowali drogę w bezludziu, może kierowali się instynktem, albo innym, sobie tylko znanym sposobem. Większość ciągnęła w kierunku Kanska, ale byli i tacy, co kierowali się do Irukucka tylko dlatego, że stamtąd jest bliżej do Polski. Niektórym było wszystko jedno czy iść bliżej czy dalej, byleby opuścić jak najszybciej to znieawidzone miejsce. Miejsce nieszczęść, zmartwień i upokorzenia, porównywane do miejsca kaźni. Teraz więc trzeba odejść stąd jak najdalej.

Podobno na szlaku do Kanska było kilka miejscowości, kilka osad ludzkich. Wybierający się w drogę mieli nadzieję, że w razie niepowodzenia w podróży będą mogli się gdzieś zatrzymać na krótko, a może nawet przezimować. Mogli przecież pracować na swoje utrzymanie i to też było jakimś rozwiązaniem, ale nie w przypadku takiej rodziny jak moja.

Ojciec mój i inni jego koledzy nie widzieli możliwości przejścia ze swoimi rodzinami 360 kilometrów przed nastaniem zimy. W mojej rodzinie najstarsza siostra miała 12 lat, a najmłodszy brat 4 lata. Ojciec wraz z matką

nie uciąglęliby wózka z rzeczami potrzebnymi dla nas wszystkich. Poza tym najmłodsze rodzeństwo nie przeszłoby pieszo tej drogi. Nie było tam przecież drogi asfaltowej ani bitej, ale szlak drogowy z różnymi naturalnymi przeszkodami, o miękkim i błotnistym podłożu, lub wręcz biegnącym na przelaj przez przecinki leśne pokryte ściółką, przez dołki i górki, w terenie równinnym i górzystym. Trójki starszego rodzeństwa - od 12 do 9 lat - nie można było porównać z normalnie odżywionymi i zdrowymi dziećmi. Wszyscy, wraz z rodzicami, byliśmy wynędzniali, słabi i zapadający w sen po najmniejszym wysiłku. Przyjaciele z naszej grupy byli w podobnej sytuacji. Zrozumiał ojciec i inni jego koledzy, że są bez wyjścia. Ojciec przeżywał to ciężko i pewnie jego koledzy również. Zamartwiał się. Wysiadywał



nad wodą i dumał. Robotę już przerwał, ale co dalej?

Kiedy był już zupełnie zdesperowany, przyszedł do niego stary sybirak, dobry i sprawiedliwy człowiek, nie pamiętam jakiej narodowości. Za-

pytał ojca czego się tak martwi, udając, że nie wie o co chodzi. Ojciec zwierzył mu się ze swoich kłopotów, a ten na to:

- Właśnie przychodzę, żeby ci powiedzieć, że jest inna droga nie tylko do Kanska, ale nawet do samego Krasnojarska. Jak mnie usłuchasz, to będziesz szybciej i bliżej celu od innych. Ja tu przeżył dużo lat i znam wiele dróg lądowych i rzecznych i powiem tobie Balik, że na Syberii najpewniejszymi drogami są rzeki, szczególnie ta, którą ci chciałem zaproponować, bo płynie się nią w dół biegu. Nie musisz się śpieszyć. Jest u nas takie przysłowie: *Tisze jediesz, dalsze budiesz*.

Tu Sybirak wyjawiał ojcu, co ma na myśli. Otóż on sam i jeszcze jeden albo dwóch Rosjan wkrótce mają płynąć łodzią bagażową, ciągniętą przez kuter rzeczny do Strielki, przy ujściu Angary do Jenisieja. On jako konwojent, będą też prócz niego pomocnik i maszynista. W tamtą stronę wiozą puste beczki po olejach i smarach. Do Strielki zawija raz na dwa tygodnie statek pasażerski, który kursuje od północnych portów Jenisieju do Krasnojarska i z powrotem.

- Myślę, że ci się uda zabrać na ten statek z całą rodziną, a może jeszcze kogo zabierzesz? Jak będziesz w Krasnojarsku to nie musisz się cofać na Sybir do Kanska. Krasnojarsk to duże miasto i jest stolicą Krasnojarskiego Kraju. Jeżeli zajdzie taka konieczność, to z Krasnojarska pojedziesz do Kanska koleją.

Ojciec na początku pomyślał, że to jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe, ale po chwili utwierdził się w przekonaniu, że ten człowiek nie żartuje i może to być wielka szansa. Zapytał Sybiraka, jak się ulokować na tej łodzi.

Ten mu doradził:

- Puste beczki można ulokować na dziobie i z tyłu łodzi, a w środku zrobić zadaszenie, coś w rodzaju szałas. Po bokach można wykonać prycze.

Dodał jeszcze, że znajdzie się tam miejsce jeszcze na inne rodziny z małymi dziećmi, może się tam pomieścić do 30 osób. Na noclegi cumują do brzegu, więc można nocować przy ognisku. Na koniec dodał, że łódź stoi nieopodal przycumowana do brzegu.

- Jak chcesz, to bierz siekierę, piłę i do roboty, bo za dwa dni odpływamy. Wstąpił w ojca duch odwagi. Zaufał temu człowiekowi i był zdecydowany do wyjazdu tą drogą, tylko czy przyjaciele się zgodzą. Jeszcze przez chwilę rozważał, czy jest to poważna oferta, ale nie pamiętał, żeby ten Sybirak robił komuś jakieś psikusy, więc uznał to za szansę, której zmarnować nie można. Poszedł więc ojciec do swych przyjaciół, żeby zaproponować im wspólne spotkanie dla omówienia tej sprawy, przekona-

ny, że na pewno wszyscy skorzystają z tej okazji. Wujek Grochowski oraz panowie Tarko i Calik wysłuchali propozycji i nie wiedzieli początkowo, co powiedzieć. Ale ich żony szybko zdecydowały: nie! Zrobiły awanturę w odpowiedzi na tę propozycję, że jak można płynąć taką małą łodzią z tyloma ludźmi na rzece, na której są progi, co stwarza duże prawdopodobieństwo rozbicia łodzi i potopienia się. Nie wiadomo również, czy Sybirak nie kłamie. Nie będą narażać własnego życia ani swych dzieci. Jak Balik chce, to niech sam płynie - i tak dalej. Jeszcze naurągały mojemu ojcu, że jest nieodpowiedzialny i narwaniec, uczeplił się szalonej myśli i innych namawia.

Przysłuchiwał się tej rozmowie pan Zimerman (albo Cymerman), który miał siedmioro dzieci i w dodatku same dziewczyny. Zainteresowała go ta propozycja, ale i jemu zabrakło odwagi. Na to ojciec:

- Jak nie chcecie, to siedźcie na miejscu, przecież ja was nie będę zmuszał, myślałem tylko, że was to zainteresuje. Jeśli nie, to przepraszam, popłynę sam, ze swoją rodziną.

Powiedziawszy to, ojciec wziął siekiere i piłę i wyszedł z domu. Matka wyszła za nim. Trochę rozmawiali i oboje poszli do łódki budować daszek według zalecenia Sybiraka. Matka całe życie była wierna swojemu mężowi, zawsze mu ufała, chodziła tam gdzie on i teraz za nim poszła. Przynieśli trochę gorszych desek z tartaku, żerdzi z lasu i zaczęli budowę szałas. Właściwie matka tylko pomagała ojcu przy piłowaniu i przytrzymywała przerynane drewno.

W tym czasie w rodzinach przyjaciół ścierały się poglądy na propozycję ojca, przy czym nie brakowało wielkich emocji i nie obeszło się bez łez niektórych pań, które chciały powstrzymać swych mężów od uczestnictwa w tej podróży. Wielu jednak z panów dochodziło do wniosku, że trzeba wykorzystać taką szansę. Wreszcie wujek Grochowski nie wytrzymał, poszedł do ojca, odebrał piłę mojej matce i bez słowa zaczął budować szałas wraz z ojcem. Po jakimś czasie to samo zrobił pan Cymerman oraz Calik i Tarko. Teraz robota szła jak należy. Na drugi dzień szałas był gotów.

Panie, które były przeciwne tej podróży, a szczególnie pani Calikowa, też się uspokoiły, zaniemówiły na jakiś czas i wreszcie pogodziły się z myślą, że chyba nie ma innego sposobu wydostania się z naszego wygnania. Mężczyźni natomiast poszli razem rozliczyć się w miejscu pracy, rzec się przydzielonych jałówek i zafasować siedmiodniowy prowiant, czyli przydział razowego chleba dla całych rodzin. Przynieśli chleb w workach. Przy rozliczaniu się w miejscu pracy powiedziano im, że jeśli zdali krowy, darowane im będą długi i wzajemne zobowiązania są na zero.

Następnego dnia rano wszyscy byliśmy w łodzi. Podpłynął kuter i doczepił naszą łódź na długiej linie. Popłynęliśmy w dół rzeki. Łódź bagażowa, którą płynęliśmy, miała w przybliżeniu około 3 metrów szerokości i 9 metrów całkowitej długości. Środkową część łodzi zajmował szafas o szerokości łodzi i długości około 3,5 do 4 metrów, z daszkiem dwuspadowym. Wewnątrz po bokach prycze na wysokości najwyżej 60 centymetrów od dna łódki, szerokości około 120 centymetrów i długości szafasu, czyli 4 metrów. Szczyty szafasu otwarte. Po środku przejście przez szafas szerokości nie większej jak pół metra. Bagaże umieściliśmy częściowo pod pryczami, trochę na dziobie i z tyłu łodzi, a pierzyny i pościel na pryczach. Wysokość środkowa szafasu, w najwyższym miejscu, licząc od wierzchołka daszku do trapu na dnie łódki, była nie większa jak 160 centymetrów. Przechodząc środkiem szafasu, nie musiałem się więc schylać. Dorośli wchodzili tu pochyleni. Najczęściej rozmieszczaliśmy się następująco: małe dzieci na pryczach z pierzynami, matki przy dzieciach, ojcowie na tyle łodzi, moi równieśnicy na dziobie łodzi między beczkami. Tylko biedne dziewczyny nie miały się gdzie podziać, więc przytulały się gdzie mogły w tej ciżbie i niewygodzie. Na pokładzie łodzi znajdowały się następujące rodziny: Balików 7 osób, Cymermanów 9, Calików 6, Tarków 4 i Grochowskich 6. Razem 32 osoby na szesnastu metrach kwadratowych. Było więc ciasniej niż w pociągu towarowym na drodze na Sybir. Maszynista - mechanik kutra spisał umowę, że wszyscy płyną na własną odpowiedzialność, czyli nikt za nas nie odpowiadał, można było od razu nas wszystkich potopić, ale na razie byliśmy traktowani jak towar, albo balast dla stabilności łodzi.

Do dziś nie mogę pojąć, dlaczego kuter ciągnął naszą łódź na tak długiej linie (50 m.) Być może, że tego wymagają zasady holowania. Wydawało mi się, że to właśnie było najniebezpieczniejsze. W razie jakiejś przeszkody na wodzie kuter mógł ją ominąć, a łódź wpadłaby na nią przez tę długość liny. Obaw było wiele a najwięcej z powodu progów na rzece. Jeżeli do tego dodamy prędkość nurtu rzeki około 6 km/godzinę, to nasza prędkość przemieszczania się wynosiła około 24 km/h. Myślę, że w ciągu jednego dnia mogliśmy pokonać odległość do 200 kilometrów.

Siedząc na beczkach po smarach, na dziobie łodzi, śledziliśmy wzrokiem jeden i drugi brzeg. Wszędzie była pustka. Mijaliśmy wzgórza i równiny. W jednym miejscu rzeka była wąska a w innym szeroka. Tu i ówdzie były mielizny i wyspy. Czasami rzeka robiła gwałtowne skręty. Na tych zakrętach naszą łódź znosiło do brzegu zewnętrznego. Na ogół wszędzie był dziki las. Pogoda była piękna. W dzień świeciło słońce i było ciepło. Nigdzie śladu życia. W jednym miejscu było wysokie zbocze i nad nim kilka, albo kilkanaście kilometrów spalonej tajgi. Spalenizna nie była stara,

bo w pogorzelsku nie było widać zieleni. Wszędzie czarna ziemia i gdzieś niedaleko osmalone kikuty dużych, spalonych drzew. Po drugiej stronie rzeki równina gęsto zarosła tajgą. Miejscami były jakieś rozlewiska lub ciągnęły się zielone łąki, może nigdy nie koszone, porośnięte drobnymi krzewami. Rzeka nie była oznakowana, ale mechanik widać na pamięć znał głębiny rzeki. Raz prowadził kuter przy jednym brzegu, innym razem przy drugim. Kiedy na rzece widać było wyspę, kuter płynął nie koniecznie szerszym korytem. Nieraz wybierał najwęższy przesmyk. Koło południa minęliśmy jakąś małą osadę. Przy rzece i na wzgórzu stało kilka małych domów. Przy chatach widać było tylko duże ilości nagromadzonego drewna na zimę. My jednak płynęliśmy dalej.

Pod wieczór ktoś z załogi kutra, za pomocą tuby wydał nam polecenie, żeby wszyscy pasażerowie weszli do środka łodzi, do szałasu i zajęli pozycje jak najbliżej dna łodzi. Za chwilę usłyszeliśmy szum wody, na tle którego stopniowo milkł warkot kutra. Wbiliśmy się wszyscy do szałasu. Znalazłem się na lewej pryczy w pozycji leżącej. Wszyscy ulokowali się jak najniżej, kto mógł wbił się pod pryczę, inni na pryczach i pomiędzy pryczami. Kobiety popadły w histerię, zaczęły się lament i wzywanie Pana Boga na pomoc. Za chwilę nasza łódź zaczęła robić skoki po wodzie, jak "kaczka", czyli płaski kamień puszczony nad powierzchnią wody. Zaczęło rzucać łodzią na boki. Fale tłukły o burtę, a fontanny wody zaczęły się przelewać przez burtę do środka. Mężczyźni chcieli wybierać wiaderkami wodę z dna, ale nie mogli, bo musieli się trzymać, ponieważ łodzią rzucało na wszystkie strony. Kilka razy słyszeliśmy jakieś chrobotanie po dnie łodzi, potem jakby uderzenie boczne i odbicie łodzi w bok. W tym zamęcie chlustającej wody, lamętu matek, pisku przerażenia małych dzieci, łoskotu pustych beczek na pokładzie, ryku mas wodnych rozbijających się o skały i łódź, nie mógł się nikt pozbierać i panować nad sytuacją. Nie wiadomo było, co się naprawdę dzieje, czy łódź jest cała i czy ktoś nie wypadł za burtę. Aż wreszcie łódź wróciła do równowagi. Ryk wody słychać było już za nami. Wyjrzeliśmy z szałasów, przed nami rozciągało się wielkie rozlewisko wzdłuż obu brzegów, a środkiem spokojny nurt rzeczny. Ojcowie nasi teraz energicznie chlustali wiaderkami wodę za burtę w obawie, że łódź jest dziurawa od spodu. Kuter płynął nieco w prawo, a potem zatoczył ostry zakręt w lewo do brzegu, pod prąd rzeki. Bokiem zaczęliśmy się zbliżać w kierunku ładu, jakby równocześnie z kutrem.

Dołynęliśmy do brzegu. Z kutra wyszedł konwojent i jeszcze jeden człowiek z załogi. Podeszli do naszej łodzi i zapytali czy są wszyscy. Owszem, wszyscy byli ale łódź nabrała dużo wody. Członkowie załogi obejrzeni łódź i powiedzieli, że wszystko jest w porządku. Oznajmiono nam, że na tym brzegu będziemy nocować. Można rozpalić ognisko.

Krajobraz był bajeczny: skrawek płaskiego nizinnego brzegu i ślady ognisk. To właśnie tu zatrzymywały się na postój i wypoczynek nie tylko załogi kutrów ale i flisacy spławiający drewno tratwami w dół rzeki. Była to wielka zatoka zaraz za skałami, przez które przedzierała się rzeka. Na tym rozlewisku nurt wodny był bardzo powolny, co umożliwiała załogom rozbitych tratw na chwytanie w tym miejscu dużej ilości rozproszonego drewna i wciąganie go na brzeg. Na naszym brzegu, zaraz za kilkudziesięciometrowym tarasem niziny, ciągnęły się lesiste wzgórza. W dole rzeki było widać wielką równinę i wijące się koryto rzeczne. Poczuliśmy się tu nareszcie bezpieczni. Za nami był największy próg rzeczny, którego wszyscy się bali. Uśmiechnęło się do nas szczęście, obeschły łzy płaczących ze strachu. Rozpaliliśmy duże ognisko. Zjeliśmy po kromce chleba i po kilka pieczonych ziemniaków.

Niektórzy lokowali się do spadnia w szałasie na łodzi, inni drzemali przy ognisku. Rosjanie rozpalili własne ognisko. Zdjęli łódkę ratunkową z kutra i o zmierzchu wypłynęli na wielkie rozlewisko. Pałac ognisko na ruszcie zamocowanym przed dziobem łodzi polowali za pomocą harpuna na większą rybę. Złowili kilka sztuk, które później smażyli przy ognisku. Zalały nas zapach smażonej ryby. Zjedli rybę i żartowali między sobą. Dla nich był to powszedni dzień, nam wszystko wydawało się nadzwyczajne.

Rankiem ruszyliśmy w dalszą drogę i znów płynęliśmy cały dzień. Brzegi były podobne do widzianych wczoraj. Przyzwyczailiśmy się do tych widoków i wszystko wydawało nam się całkiem zwykłe. Wypatrywaliśmy jakiejś chaty, ale najczęściej na próżno. Minęliśmy tego dnia jeszcze dwa progi, ale nie były one tak groźne jak ten pierwszy. Pod wieczór kuter z naszą łodzią przycumował na następny nocleg przy prawym brzegu. Podobnie jak poprzednio rozpaliliśmy ognisko blisko rzeki. Rosjanie spuścili łódkę ratunkową i popłynęli na lewy brzeg rzeki. Jeden z nich miał strzelbę. Po krótkim czasie od zejścia z łódki oddał strzał i zaraz wrócił z powrotem wioząc dodatkowy, martwy bagaż. Był nim *sachat* (może to był suchak z rodziny łosiowatych?), o wadze około 150 kilogramów, który - jak się okazało - był uwięziony w zasadzkowym dole. Tam go dobito i dowleczono do łódki. Nie wiem, czy to było polowanie, czy zwyczajne kłusownictwo. Ważne, że trwało krótko. Dół - pułapka musiał być ponownie zamaskowany. Teraz Rosjanom, panom myśliwym, nie chciało się paprać rozbiórką upolowanego zwierza. Poprosili więc naszych ojców, żeby oporzędzili zwierzę, a nasi ojcowie zrobili to bardzo chętnie. Powiesili *sachata* na drzewie, wypatroszyli go i zdjęli skórę. Za robotę dostali płuca, łeb i nogi zwierzęcia. Na tym biwaku mieliśmy ucztę z tych podarunków. Było co gotować. Otrzymane płuca, łeb i nogi podzielono na kawałki tak, że

każda rodzina włożyła coś do garnka. Nie pamiętam jaka część przypadła dla mnie, ale przypominam sobie, że moja młodsza siostrzyczka dostała do zjedzenia ucho. Od tego czasu nazywaliśmy ją uchem sachata.

Następnego dnia płynęliśmy dalej. Koło południa wpłynęliśmy na wielką wodę Angary. Teraz można było obserwować tylko ten brzeg, w pobliżu którego płynęliśmy. Drugi brzeg był zbyt odległy i w szczegółach niewidoczny. Brzegi Angary były często zabudowane małymi osadami. Wczorajem przy płynięciu do portu Striełka. Była to jakby duża wieś. Parterowe domy mieszkalne stały równym rzędem przy kilku ulicach. Jedna z nich, ciągnąca się wzdłuż brzegu, była szeroka, z zielonym pasem murawy pośrodku, bez żadnych drzew ani krzewów. Na końcu tej ulicy, w dolnej części rzeki Jenisiej, przy brzegu był mały port, przy którym stało kilka drewnianych magazynów. Port i magazyny ogrodzono drewnianym płotem, brzeg i ulica, którą tu dochodziła, nie była utwardzona. Podpłynęliśmy do brzegu nie w porcie, ale wcześniej, na początku tej szerokiej ulicy. Na tym brzegu była drewniana kładka. Wysiedliśmy z łódki, dziękując Rosjanom, że nas tu szczęśliwie przywieźli.

Rozlokowaliśmy się za plażą, na zielonej murawie. Zbiegło się sporo miejscowych dzieci i kilkoro ciekawskich, żeby zobaczyć co to za ludzie tu zjechali. Rodzice zapytali ich, gdzie tu jest jakaś władza. Ojciec z wujkiem Grochowskim poszli zameldować nasze przybycie. Przewodniczący portu nawet się ucieszył z naszego przybycia, bo w porcie stała barka czy statek towarowy, na którym był do rozładowania transport mąki amerykańskiej, a miejscowych ludzi miał za mało, bo wielu wcielili do armii. Poinformował nas, że statek pasażerski, który będzie płynął do Krasnojarska, zawinie do Striełki za 8 dni. Tymczasem dał nam jedną izbę w jakimś niedużym domu przy szerokiej ławkowej ulicy i zaproponował naszym ojcom pracę w porcie przy rozładunku mąki. Wynagrodzeniem za pracę był przydział odpowiedniej ilości potrzebnego nam chleba i może jeszcze trochę pieniędzy, które będą potrzebne na wykupienie biletów na statek do Krasnojarska.

Ojcowie nasi pracowali przy rozładunku statków rzecznych lub w magazynach portowych, a matki opiekowały się dziećmi, gotowały kartoflanekę i naprawiały podartą odzież, bieliznę i pościel. Pamiętam, że najwięcej czasu poświęcałem wtedy na szukanie i bicie wszy. Bieliznę mieliśmy bardzo podartą, bo nowej nie przybywało, a stara była coraz bardziej zużyta. Matka, albo siostra Todzia przyszywały łatę na łacie. W takiej bieliznie było pełno szwów i zaszepek, za którymi gnieździły się wszy. Musiałem cierpliwie odwijać różne zaszepek i fałdki, żeby wyłapywać te stworzenia i likwidować je. Od zabijanych wszy bielizna płamiła się krwią. Pranie dla naszych matek było nie lada problemem, bo robiły to bez środków piorą-

cych. Czasem do prania wstępnego używały popiołu. Wszy były nie tylko w bieliźnie, ale w całej odzieży, jaką się nosiło na sobie. Po częściowym uporaniu się ze wszawym ubraniem trzeba było iskać głowę przez wyczesywanie wszy gęstym grzebieniem na białą kartkę papieru. Wszy na papierze były dobrze widoczne i łatwe do uśmiercenia. Wszy we włosach były wyszukiwane także przez iskanie jeden drugiego. Iskanie się wzajemne było codziennym zajęciem nie tylko dla nas. Należało ono do codziennych zajęć ludności całej Syberii. Po to schodziły się tu gospodynie domowe, tak jak we wsiach polskich do darcia pierza. Czasem schodziły się dziewczyny, wabiąc do siebie chłopców. Było to zajęcie jawne, uważane za troskę o higienę osobistą. Dlatego nikt tu się nie krył z iskaniem wszy. Odwrotnie, czynili to na widocznym miejscu, na przykład na progu domu, lub na stołku przed domem. Jedna rzecz tylko wydawała się polskim rodzinom obrzydliwa: Sybiraczki używały do iskania zwykłego noża kuchennego, spełniającego podwójną rolę. Bywało, że wrywali sobie nawzajem ten sam nóż używając go raz do krojenia chleba, drugim razem do iskania. Rosjanie dziwili się Polakom, że ci iskają się grzebieniami. Udowadniali, że nożem jest wygodniej.

Pierwszy dzień pracy ojca w porcie przyniósł nam pewne korzystne rezultaty. Była to praca przy przeładunku worków z mąką. Nasi ojcowie przyszedli do domu biali jak młynarze. Przy okazji, jakby niechcący, nasypało im się mąki do wszystkich kiesieni. Po opróżnieniu kieszeni w domu matka zebrało około półtora kilograma mąki, a kto miał większe kieszenie, albo ich więcej, to zbierało się dwa kilogramy. Zaraz matki zabrały się do pieczenia twardych placków, wprost na blasze kuchennej. Drugiego dnia ojciec przyszedł z pracy nieco grubszy. W domu rozebrał się i spod paska spodni wyciągnął trzy białe lniane worki po mące amerykańskiej. Nazajutrz matka uszyła z tych worków sukienki dla Todzi i Krysi.

W Strielce czas szybko nam zleciał. Siódmego dnia ojcowie nasi za zarobione pieniądze kupili chleba po mniej więcej 15 kilogramów na rodzinę i bilety na statek dla każdej rodziny. Ojcu nie starczyło pieniędzy na kupno biletów dla wszystkich członków rodziny. Nie wiem, czy miał ich trzy czy cztery, a potrzeba było siedem, nawet jeśli najmłodszy mogliby jechać za darmo, potrzebował ich co najmniej sześć. Liczył, że przy wejściu na statek uda się kilkoro dzieci przemycić.

Wreszcie przyszedł dzień, w którym do Strielki przyplłynął statek pasażerski. Był to statek podobny do staków turystycznych, jakie pływają po Wiśle, najwyżej trochę większy a może i dużo większy. Napęd parowy, paliwem było drewno, którego tu nie brakowało. W porcie był spory zapas drewna i ładowano je na statek. Wzdłuż obu burt statku znadowały się wielkie koła łopatkowe, częściowo zanurzone w wodzie, wprawiane w

ruch obrotowy przez maszynę parową. Nikt nie przypuszczał, że przy wejściu na statek będzie taki wielki tłok. Niewiadomo skąd się wzięło tylu ludzi, którzy mieli płynąć tym statkiem, nie wiadomo dokąd. Poza tym nasze rodziny miały spore tobołki. Aby dostać się na statek, należało przejść przez kołowrotek krzyżakowy umieszczony w ogrodzeniu. Przed kołowrotkiem panował niesamowity ścisk. Ogłaszano przy tym, że wszystkich nie będą mogli wpuścić na statek, przez co ludzie pchali się jeszcze bardziej do wejścia. Rodziny z dziećmi podobnie jak nasza, miały pewne względy, bo inaczej nie mogły sobie wytłumaczyć faktu, że wszyscy jakoś dostaliśmy się na ten statek. Ja miałem zadanie wciśnięcia się pomiędzy nogami przechodzących przez furtkę i to mi się nawet udało, tylko przeżyłem chwilę trwogi, bo przeszedłem bramkę za wcześnie i długo czekałem na swoich. Matka trzymała dwoje najmłodszych dzieci na ręku. Ojciec niósł bagaże i musiał jakoś przemycić jedną z moich siostrzyczek. Jakimś cudem udało nam się wszystkim przedostać na pokład z całym majdanem, który stawał się coraz skromniejszy. Zdarliśmy już wiele odzieży i pozostało nam prawie tylko to, co każdy miał na sobie. Tobołki zawierały jedynie pościel i trochę różnyc naczyń. Pierzyny były już bez powłok, a wyspy gęsto pokryte łatami. Na szczęście mocne były płachty, w które były zawinięte pierzyny. Resztę bagażu stanowił worek z chlebem i kilka mniejszych paczek z naczyniami i narzędziami podręcznymi.

Na statku nie było nawet skrawka miejsca, na którym można byłoby swobodnie stanąć. Było tam wprawdzie kilka kabin, ale zajętych przez uprzywilejowanych. Zwykli ludzie siedzieli na podłodze zadaszzonego parteru, w przejściach, pod schodami i gdzie się dało. Najluźniej było na górnym odkrytym pokładzie, ale tu najczęściej przebywaliśmy w dzień, bo noce były już chłodne. Wszyscy gnietli się więc na parterze. Do maszynowni nie można się było dostać, chociaż próbowałem parę razy. Nie wpuszczano tam ciekawskich, bo było takich dużo. Na pokładzie parterowym była na samym środku wolna przestrzeń, oddzielająca dziobowe i rufowe pomieszczenia oraz korytarze. Przestrzeń tę zajmowały trzy walce (beczki) z balastem zróżnicowanej wielkości. Służyły one do wyważania statku. Największy walec balastowy miał średnicę do dwóch metrów długości około 2,5 do 3 metrów. Często przyglądaliśmy się jak robotnicy pokładowi drągami przetaczali te walce z jednej strony na drugą i na przemian. Na przykład: dużą beczkę z lewej strony na prawą, a dwie małe beczki z prawej na lewą, albo wszystkie beczki na jedną stronę, w zależności od potrzeby. Manipulacje takie widziało się zawsze, kiedy statek przepływał koło brzegu, na którym coś się znajdowało, na przykład wieś, albo ciekawa góra. Wówczas większość pasażerów usiłowała się przedostać na tę stronę, żeby to zobaczyć, co powodowało przechył statku na jedną

stronę, wówczas robotnicy natychmiast przetaczali walce balastowe na stronę przeciwną. Takie przechylenie statku może nie było tak groźne dla jego stateczności, jak ze względu na napęd. Statek bowiem przechylony na przykład na prawą stronę powodował większe zanurzenie prawego koła napędowego, wobec czego prawa strona otrzymywała większy napęd i jeżeli tej różnicy nie wyrównano sterem, statek skręcał w lewo. Oczywiście pasażerowie, którzy się tym nie interesowali, nie wiedzieli po co przetaczają walce. Mogli nawet pomyśleć, że robią to dla rozrywki, albo dla rozgrzewki. Gdyby nie korygowano równowagi statku tymi walcami balastowymi, statek mógłby zataczać łuki na wodzie i zamiast płynąć prosto, kręciłby się w kółko albo w ósemkę.

Płynęliśmy teraz Jenisiejem, w górę rzeki. Rzeka w niektórych miejscach miała tak znaczną szerokość, że płynąc przy jednym brzegu przeciwny był widoczny zaledwie jak kreska nad horyzontem. Brzegi Jenisiju były już znacznie zabudowane i zaludnione. Kiedy na górnym pokładzie gromadziliśmy się przy jednej burcie, zainteresowani tym, co widać było na brzegu, na dołnym pokładzie przetaczano walce balastowe na przeciwną stronę.

Tym statkiem płynęliśmy 3 dni, znacznie wolniej niż poprzednio małą łódką, bo jak wspomniałem, Jenisiejem płynęliśmy pod prąd, w górę rzeki. Trzeciego dnia wieczorem dopłynęliśmy do portu Krasnojarska. Duże miasto zrobiło na nas wrażenie. Widać było dużo domów oświetlonych światłem elektrycznym. Wysiedliśmy ze statku na niski drewniany pomost. Obok było wiele statków towarowych. Na brzegu i na pomoście kręciło się wielu ludzi.

Nie wiedząc gdzie mamy się ruszyć, przykucnęliśmy na jednym z drewnianych pomostów, których było tam więcej. Do każdego z tych pomostów przycumowano kilka łodzi różnej wielkości. Zanim wyruszyliśmy dalej, dotarły do nas słowa polskiej mowy. Zauważyliśmy grupę mężczyzn którzy w panującym zmroku wyglądali na zarośniętych i oberwanych jak dziady przykościelne. Wielkie było nasze zdziwienie, kiedy usłyszeliśmy, jak jeden z nich zwrócił się do drugiego:

- Panie majorze... -

Ktoś z naszej grupy zawołał:

- Tu są Polacy! Co to za ludzie?

Po chwili my staliśmy się sensacją. Zebrało się wokół nas sporo mężczyzn, którzy czystą polszczyzną nawoływali:

- Panowie, pozwólcie! Tu są jakieś polskie rodziny! Są tu dzieci polskie!

- Panowie! Chodźcie, zobaczcie polskie dzieci!

Padło do nas pytanie:

- Skąd wy jesteście? -

Nastąpiła krótka wymiana zdań i za chwilę obie strony dowiedziały się, kto jest kto. Okazało się, że ci panowie w dziadowski łachmanach to są Polacy, uwolnieni jeńcy wojenni, przeważnie oficerowie Wojska Polskiego, którzy w Krasnojarsku grupowali się w drodze do punktu, gdzie tworzyła się armia generała Andersa. Ci, których tu zastaliśmy przybyli do Krasnojarska z dalekiej północy, z obozów pracy koło Igarki. Byli zorganizowani, dobrze zorientowani w sytuacji międzynarodowej. Nie pamiętam, czy czekali jeszcze na następną grupę, czy na przesiadkę. Bardzo serdecznie zajęli się nami. Jakiś pan głaskał mnie po głowie, mówiąc do swego kolegi, że takiego syna zostawił w Polsce z żoną i nic nie wie o ich losie. Inny wziął Krysję na rękę i mówi do drugiego:

- Panie kapitanie, moja córka jest podobna do tej dziewczynki.

Zabrali nas do poczekalni portowej i przedstawili swojemu dowódcy. Nie pamiętam nazwiska ani stopnia wojskowego tego pana. Przy świetle elektrycznym mogliśmy się przyrzuć sobie nawzajem. Andersiacy byli bardzo nami zainteresowani i pytali o wszystko, gdzie byliśmy, kiedy wywiezieni, jak tu dotarliśmy i tak dalej. Mieli swoje racje żywnościowe, którymi zaczęli się z nami dzielić. Nie mogę określić ilu ich tam było, ale sądząc po tłoku, jaki panował na dużej sali poczekalni, mogło ich być do 300 osób. Długo nie mogliśmy zasnąć z wrażenia.

Nazajutrz przyglądaliśmy się tym panom w polskich porwanych mundurach. Niektórzy byli ubrani częściowo w cywilne porwane łachy. Większość z nich miała blado-sine, ale pełne twarze z błyszczącą skórą. Wyglądali na dobrze odżywionych. Dopiero jeden z tych panów, który zresztą ubolewał nad naszą nędzą, szczególnie nad wymizerowanymi dziećmi, pokazał na czym polega puciołowatość jego twarzy i połysk skóry. Nacisnął palcem swój policzek, a kiedy odjął palec, pozostało w tym miejscu sine wgłębienie wielkości jego palca i długo nie ginęło. Byli opuchnięci z głodu. Ich ciała były obrzękłe. Powiedział nam, że to ustąpi po jakimś czasie, jeśli będą się racjonalnie odżywiać. Mieli spracowane ręce. Pracowali w tartakach i przy transporcie drewna, w zakładach przemysłu drzewnego koło Igarki. Dowódca Andersiaków powiedział naszym ojcom o swoich planach i zaproponował im wstąpienie do tworzącej się polskiej armii. Powiedział, że oni mają wyruszyć do Iranu a stamtąd dotrzeć na front zachodni. Jeśli ojcowie się zgodzą wstąpić do armii na ochotnika, to im gwarantuje, że ich rodziny też wyjadą do Iranu i tam pozostaną do zakończenia wojny. Dał czas do namysłu, oczekując odpowiedzi za kilka godzin, jaką decyzję podjęli ojcowie. Zachęcał, że dobrze wyjdziemy, jeśli usłuchamy jego rady.

Powstał nie lada problem. Ojcowie nie wiedzieli, co mają począć. Naradzali się między sobą, a matki zaczęły nalegać, żeby ich nie opuszczali

w tak trudnych chwilach. Mówili, że nie wiedzą nic o kraju, w którym przyszłoby im zostać samym z dziećmi. Nie wiedzą jacy są tam ludzie i boją się same zostać wśród obcych. Ojcowie też ubolewali, że gdyby nie dzieci to bez namysłu wstąpiliby do tej armii, a kobiety dałyby sobie radę. Wydało im się, że pozostawienie rodzin własnemu losowi byłoby złym rozwiązaniem, a i sami byli by narażeni na froncie. Zdecydowali więc, że na razie zostaną z rodzinami. Następnego dnia Andersiacy pożegnali się z nami serdecznie i odjechali w nieznanym kierunku.

Ojcowie nasi dostali propozycje pracy w porcie Krasnojarsk w charakterze robotników transportowych. Potrzebne były dokumenty tożsamości i pozwolenie na pobyt w Krasnojarsku. Po obejrzeniu zaświadczeń wydanych w tajdze stwierdzono, że nie mogą otrzymać pracy w Krasnojarsku, bo w zaświadczeniu napisano, że dokument jest tymczasowy, a właściwe dokumenty będą nam wydane w Kansk, gdzie zadeklarowaliśmy chęć swego pobytu. Poradzono rodzicom, żeby udali się z prośbą do przewodniczącego (burmistrza) Krasnojarska, żeby pozwolił zmienić miejsce pobytu. Ojcowie nasi natychmiast to uczynili, bo bardzo nam zależało na pozostaniu w Krasnojarsku, jako że jest to duże miasto i leży bliżej Polski. Nikt wcześniej nie przypuszczał, że los rzuci nas do Krasnojarska, bo przecież wystarczyło wymienić to miasto jako miejsce naszego pobytu i wszystko potoczyło się inaczej. Błąd decyzji podjętej w tajdze teraz zaczynał się mścić. Liczyliśmy, że burmistrz zrozumie, że zgłoszenie się do Kanska było przypadkowe. Rozwiał się jednak nasze nadzieje. Burmistrz kategorycznie zabronił nam na pozostanie w tym mieście. Powiedział, że w naszych zaświadczeniach jest czarno na białym, gdzie mamy zamieszkać. Nie pomogły prośby motywowane naszym zmęczeniem i wyniszczeniem. W drodze wyjątku dał zezwolenie na kilkudniowy nocleg w poczekalni dworca portowego, do chwili zarobienia pieniędzy potrzebnych na opłatę biletów kolejowych do Kanska. Około kilkunastu dni mieszkaliśmy na posadzce dworca portowego. Ojciec ukradł jeszcze parę worków lnianych, z których matka uszyła mi koszulę. Przydała mi się, bo ta, którą nosiłem dzień w dzień była podarta w strzępy, a lata na łacie dawała takie kryjówki wszom, że nie można było ich skutecznie wyłapać. Kiedy założyłem nową, niezbyt starannie uszytą koszulę, to okazało się, że przez swoją szorstkość gryzie bardziej dokuczliwie niż wszystkie wszy w starej koszuli. Ale nie skarżyłem się, bo matce byłoby przykro, a ja i tak byłem dumny z nowego i porządnego nabytku. Po pewnym czasie przyzwyczaiłem się do tej koszuli, a poza tym wykruszyły się z niej kłujące zadry i już tak nie gryzła, a po kilku praniach była miękka jak flanela. Z następnych worków matka uszyła moim młodszemu braciszkom portki i bluzy. Ufarbowała je na granatowo farbą kupioną na bazarze.

Wielkie miasto zaczęło nam imponować, chociaż widzieliśmy tylko jego niewielki skrawek koło portu. Przekonaliśmy się, że łatwiej tu wyżyć niż w bogatej tajdze. Więcej można było zdobyć na śmietnikach przy stołówkach, aniżeli kupić za pieniądze zarobione w tajdze. Można tu było znaleźć coś przydatnego, a przede wszystkim ukraść coś z dobra państwowego przy stosownej okazji. Żyliśmy przecież jak Cyganie, bez domu i bez pieniędzy. Zawsze w drodze i zawsze głodni, nieporadni i nieszczęśliwi. Trzymaliśmy się razem całą rodziną, wzajemnie pomagając sobie w chwilach najcięższych, chociaż między nami konfliktów nie brakowało, ale zawsze chodziło o głupstwa. Przeważnie my, dzieci, dokuczaliśmy sobie nawzajem, przezywając jedno drugiego przy każdej sprzeczce. Teraz jedynymi naszymi żywicielami byli nasi ojcowie. Byliśmy szczęśliwi, że zostali z nami i nie poszli do armii Andersa. Co byśmy bez nich robili? Teraz pracowali w porcie, żeby zarobić na chleb. Oprócz głodu i wszy już zaczynało dokuczać nam zimno, bo zbliżała się jesień. I chociaż w dzień świeciło słońce, to noce były coraz zimniejsze.

Po wypłacie ojcowie zdecydowali, że trzeba kupić bilety kolejowe do Kanska. Niestety, nie starczyło ojcu pieniędzy na bilety dla nas wszystkich. W biurze kasowym trzeba było uzasadnić potrzebę kupna biletów kolejowych, ale na szczęście nie było z tym większych kłopotów, bo wy-



brane miejsce pobytu mieliśmy "czarno na białym". Ojciec kupił 4 bilety, to jest dla siebie, matki oraz dla dwojga najstarszych dzieci. Możliwe, że najmłodszy mógł jechać bez biletu, więc brakowało nam dwóch połówek biletów. Krysię i Michałka trzeba było ukrywać.

Nie pamiętam momentu wsiadania do pociągu, ale przypominam sobie ogromny tłok w wagonie, więc i wsiadanie musiało być niełatwe. Pamiętam tylko moment ścisku w przedziale pociągu i kłótnię pasażerów rosyjskojęzycznych. Co drugie słowo padała nazwa *czamadan*. Nie wiedzieliśmy o co chodzi, ale później się okazało, że w czasie wsiadania do pociągu jednej Rosjance przepadł *czamadan* (walizka). Zrozpaczona kobieta posądzała innych, że zabrali jej bagaż i usiłowała go odnaleźć.

Kiedy zjawił się konduktor zrobiło się wielkie zamieszanie i chowanie małych pasażerów jadących na gapę. W wagonach którymi jechaliśmy, były podnoszone siedzenia z wmontowanymi skrzynkami na bagaż. Michałka ojciec wsadził pod siedzenie, a Krysię na półkę za tobołki. Inni robili podobnie. Rosjani pomagali w ukrywaniu dzieci i nie wydali tego konduktorowi. Trzeba przyznać, że Rosjanie wspomagają się nawzajem, kiedy ludzie mają do czynienia z kontrolą, władzą, z przełożonym i tak dalej. Podział między rządzonymi a rządzącymi jest bardzo wyraźny. Do tego modelu nie trzeba było nas długo przystosowywać.

Najlepszym przymierzem ludzi jest bieda. Ten, kto przyczyniał się do powiększania biedy był wrogiem, niezależnie od pełnionej funkcji. Nasze rodziny były rozmieszczone w kilku przedziałach. W następnym przedziale, gdzie były inne nasze rodziny, konduktor naliczył więcej ludzi od podanych mu biletów. Była spora awantura, ale konduktor nie bardzo mógł się dogadać z Polakami, powiedział więc, że przyjdzie tu jeszcze z milicjantem, ale na szczęście nie wykonał swej groźby.

Z Krasnojarska wyjechaliśmy wieczorem, a raniutko o świcie byliśmy w Kansku. Wsiadając z pociągu zobaczyłem na dachach i na ziemi szron. Musiał to być koniec września, bo w październiku zaczyna się tam zima. Chwilę czekaliśmy na stacji pod gołym niebem. Później przeszliśmy do poczekalni, czekając na rezultat pertraktacji naszych ojców, którzy poszli do magistratu zameldować się i prosić o jakieś schronienie. Wiedzieliśmy, że po raz drugi przyjechaliśmy do Kanska. Pierwszy raz przed niespełna dwoma laty w bydłowych wagonach, teraz już w wagonie osobowym w wielkim ścisku, ale jako wolni ludzie. Przed południem przyszli nasi ojcowie z dobrą nowiną, że otrzymaliśmy mieszkanie niedaleko centrum. Przyjechała furmanka, na którą załadowano wszystkie rzeczy pięciu rodzin. Szliśmy wszyscy za tą furmanką jak za pogrzebem. Fura podjechała pod domek drewniany, który stał przy ulicy Protocznej.